

MAGDA KNEDLER



USTA
RZEŹBIARKI

Powieść o życiu Aliny Szapocznikow

MAGDA KNEDLER

USTA
RZEŹBIARKI



OTWARTE

KRAKÓW 2022

Copyright © by Magda Knedler

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2022

Opieka redakcyjna: Olga Orzeł-Wargskog

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Pracownia 12A

Projekt okładki: Zuzanna Weremiuk

Fotografia autorki: Agata Sobolewska

ISBN 978-83-8135-175-1



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

SZAPOCZNIKOW I

1955

To ja.

Kształt, w którym można pomieścić różne rzeczy. Widoki, zapachy, ciepło słońca, ukłucia komarów, smak wina i czekolady. Kolor szminki – *clair* – zawsze albo prawie zawsze tej samej marki. Energia, siła i znacznie rzadziej zmęczenie. Radość i znacznie rzadziej smutek. Entuzjazm i znacznie rzadziej zniechęcenie. Pęcherze na dłoniach i glina za paznokciami, mnóstwo wyobrażonych form, które nie pozwalają spać, talent i praca. Socrealizm, pomnik przyjaźni polsko-radzieckiej, ludowość, Nieludowość, marksizm, egzystencjalizm. Miłość, niemiłość, ruch, ciało, mięśnie, ścięgna, kości i żyły. Głowa, usta, piersi, brzuch. Słowa, wypowiedziane i niewypowiedziane. Różne rodzaje bogactwa i różne rodzaje nędzy. Śmiech i płacz, jednak bardziej śmiech. Zdrowie i choroby, miejsca, w których chorować nie wolno, i te, w których można. Paryż, Warszawa, Wenecja, Rzym, pociągi i samochody, morze ciepłe i morze zimne. Piasek, ślady stóp i dłoni. Dotknięcia. Odciski.

Tak o sobie myślała. Czasem.

Myślała, że być może rzeźba to tak naprawdę poszukiwanie własnego ciała, odkrywanie, że się je ma. Być może jej historia to tak naprawdę historia ciała. Jednego i wielu. Ale jest też powietrze i natura. Rośliny. Jest oszołomienie, kiedy człowiek zaczyna dostrzegać to wszystko, szczęśliwy, że można dotknąć i smakować. I nieszczęśliwy, jeśli nie może. Najstraszniejszą krzywdą jest odebranie ludziom prostych przyjemności i zwykłego życia. Wiedziała o tym dobrze.

Pewnego dnia Alina zobaczyła obraz i jednocześnie zobaczyła też malarkę. Wyczuła ją w pociągnięciach pędzla, w kolorach i kształtach, spojrzała na jej życie. Pomyślała o cierpieniu. O odbieraniu prostych przyjemności i walce o nie. Tak, stwierdziła, ty też coś o tym wiesz.

„Nie znamy się, malarko – mówiła do jej obrazu. – Nigdzie o tobie nie wspomnę. Z wieloma ludźmi będę rozmawiać o Braque’u, Maillolu, Rodinie i Dunikowskim, którego nie lubię, o Henrym Moorze i jego rzeźbieniu powietrza, o Tchorzewskim i o Fangorze. Ale o tobie nie. Choć mamy przecież tyle wspólnego. Ty malowałaś Stalina, a ja go rzeźbiłam. Ty jako dziecko chorowałaś na polio, a ja musiałam patrzeć, jak choruje świat. Obie nas zawiodły i rozczarowały nasze ciała, obie też wkładamy to w sztukę. Być może widzisz teraz, jak szukam ścięgien, piersi, brzuchów i kręgosłupów. Wszelkie teorie są do luzu. Trzeba się przyglądać i dotykać. Wszystko poznawać od podszewki. I zaczynać od nowa. Wciąż i wciąż zaczynać od nowa. Prawda? Szkoda, że już nie żyjesz”.

Rozmawiała z jej obrazem, ze *Zranionym stołem**. Uczłowieczonym przedmiotem, przy którym malarka siedzi z trupem i mężem monstrem. Obok męża stoi ktoś, kto ją

* Autorką obrazu *Zraniony stół* jest Frida Kahlo.

zranił, a nad głowami wisi czerwona kurtyna. Scena z ludzką krzywdą w centrum. Ludzie lubią pokazywać i oglądać krzywdę. Alinie podobało się to, że zraniony stół ma ludzkie nogi bez skóry. To, co skóra powinna trzymać w środku, wydostaje się na zewnątrz. Nie ma ochrony dla wnętrza, nie ma granic.

Chciała opowiedzieć swoją historię tej malarce, ale najpierw musiała zdecydować, w którym momencie się zaczęła. Choć robiła projekty pomników dla muzeum w Oświęcimiu, na cześć walczącej Warszawy i bohaterów getta, o wojnie mówiła tylko poprzez sztukę i prawie nigdy słowami. Opowieść – taka ze słowami – musi mieć postaci, kilka pobocznych i jedną główną, a z jej życia trudno było wysnuć coś poukładanego i linearnego. Na ile jest się sobą sprzed lat? Czy tamta dziewczyna to wciąż ja? Czy czasem tak jest, że wstydzimy się siebie? Swoich wyborów, zachowań, tego, jak się ubierałyśmy i czesałyśmy, jaki miałyśmy głos. Każdy, chyba, trochę się wstydzi. Bywało tak, że Alina nie rozpoznawała siebie we wspomnieniach. Szukała jej, dziewczyny z Pabianic, córki i siostry, uczennicy, przyjaciółki. „Tamtej” Aliny, pierwszej. Opowieść o jej życiu miała więc dwie bohaterki i splatała się z dwóch nici. Alina bez sztuki. I Alina ze sztuką.

Zacząła się w Paryżu, na studiach artystycznych, w pracowni rzeźbiarza Niclausse’a. Dotąd myślała, że może jednak wcześniej, w Pradze, ale nie. Praga była granicą. Miejscem, w którym się ze sobą spotkały, Alina pierwsza i Alina druga – Alina „właściwa”. Miejscem pięknym i dobrym. Zaczęła się jednak w Paryżu, gdzie trafiła osiem lat temu, wcale nie do żadnych urokliwych kamieniczek, bagietek i wina, tylko z początku do nędzy, ciasnego pokoju, wspólnej łazienki na korytarzu, często robactwa i złych humorów

konsjerżki, która mogła zapomnieć, że jest dla ciebie paczka od matki.

Mieszkało się więc biednie w powojennym mieście światel. A jednak jeśli wyszło się z wojny, jeśli się widziało rzeczy, jakich wcześniej człowiek nie umiał sobie nawet wyobrazić, i jeśli wreszcie znalazło się coś, tę jedną rzecz, którą pokochało się bardzo mocno, żadna bieda nie była straszna. Bieda na wolności jest zresztą zupełnie inna niż bieda w zamknięciu. Wciąż jeszcze oglądała się czasem za siebie, budziła się w nocy i nasłuchiwała, a o poranku zastanawiała się przez chwilę, czy nadszedł jej dzień, czy może jeszcze nie. Mimo wszystko więcej już było poranków ze słońcem na twarzy i uśmiechem. Mogła mieć stare pantofle i znoszoną kieckę, ale Paryż był jej. Jej bulwary, parki, tania kawa i papierosy, jej Sekwana, gargulce na wieżach katedr, obrazy w galeriach i rzeźby Rodina, których wcale nie lubiła. Rodin jak na artystę miał w sobie za dużo pychy. Wtedy bardzo mocno czuła, że artysta musi być niepewny i niezadowolony z siebie, musi szukać i zadawać pytania, ścigać doskonałość, re-interpretować ją i przedefiniowywać. Pycha powoduje, że przestajesz się rozwijać.

Jadło się na stołówkach i piło tanie wino. Po wojnie – piękna sprawa, tak piękna, że aż coś skręcało w środku. Uczyła się, a w zasadzie żarłocznie rzucała na wszelką wiedzę i doświadczenie. Była młoda i stara jednocześnie, pełna energii i trochę zmęczona, jeszcze zdrowa, ale już z poczuciem, że w razie czego wolno jej zachorować. Analizowała rzeźbę i malarstwo, tworzyła, słuchała opinii, że jest nieprzeciętna i że ma talent, a zarazem coraz bardziej rozumiała, ilu rzeczy nie wie i jak wiele jeszcze przed nią.

Poznawała ludzi, także polskich artystów, i tych początkujących, i tych już doświadczonych. W Paryżu zawsze

byli jacyś polscy artyści. Na przykład Stanisław Grabowski, wielki malarz, wielki i krańcowo biedny malarz, dokarmiany przez kwiaciarkę codzienną zupą, zostawianą pod drzwiami jego mieszkania w La Ruche. Alina podziwiała to, jak balansował na granicy realizmu i snu, rzeczywistości i fikcji, konwencji i awangardy. To, jak podchodził do swojej pracy, w której zawsze musiały być emocje, nigdy chłód i pragmatyzm, bo tylko sztuka, która pobudza do przeżywania, ma znaczenie. W cuchnących ruderach La Ruche na Montparnasse swoje pracownie mieli przed wojną Chagall, Modigliani, Kandinsky, Léger, Soutine i inni wielcy. Był to okrągły drewniany dom, wybudowany na początku wieku jako jeden z pawilonów na paryską wystawę powszechną. Rotundę wykupił następnie Boucher i przeniósł ją na Passage Dantzig, by służyła jako warsztaty dla artystów.

Grabowski znał się z Jeanem Arpem i Maxem Ernstem, a jeśli zna się Maxa Ernsta, to w zasadzie wie się wszystko o surrealizmie. Żył w nędzy, w złych warunkach, ale tworzył, mówił o wystawach, o tym, że jego prace na pewno pojadą za ocean i prędzej czy później zobaczy je Ameryka. Nieuprana koszula, niezmieniona pościel i ta codzienna zupa od kwiaciarki – to nie było ważne. Ważne było to, jak należy patrzeć na winogrona, fioletowy dzban, łódkę i drzewo. Widzieć drganie liści i czuć na skórze wiatr, który je porusza. Ważne było to, jak w słonecznym świetle poranka rozmywa się kształt katedry Notre Dame.

– Jakie grupy artystyczne? – pytał. – Jakie grupy? Alina! Indywidualne przeżycie się liczy, to jest coś, co ma znaczenie. Trzeba szukać własnej drogi, swojego śladu. Grupy? Jakie grupy? Grupa zawsze zakłada wspólne zasady.

Zachwycaj się światem, mówił. Wyprostuj plecy, idź z godnością, nawet wtedy, gdy nie masz co jeść.

- Kreska musi być żywa. Figura plastyczna jest nośnikiem ekspresji. Każdy ma prawo wybrać to, co go wzbogaca. Obraz, muzyka, wiersz – oto maszyny do wzruszania.

- Maszyna i wzruszanie. To mi się jakoś nie łączy – droczyła się z nim, a on tylko machał ręką, tylko szukał papierosów i pytał, czy przyniosła likier, ten słodki, który lubi.

Przynosiła likier. Kosztował sporo, ale dla Grabowskiego warto się było wysilić.

- Czy wiesz, Alina, kim była moja prababka? – pytał znowu. – To Konstancja Grabowska, z domu Gładkowska, śpiewaczka operowa. Kochał ją Chopin. Teraz się zainteresowałaś? Jak wszyscy. Każdy lubi dobrą miłosną historię.

- To prawda – zgodziła się uprzejmie, bo i ona sądziła, że miłość jest w życiu ważna.

- Chopin kochał Konstancję, Chopin zostawił Konstancję w Warszawie, Chopin przyjechał tu i robił swoją muzykę, i nadal ją kochał, i ona nadal kochała jego, ale życie biegło dalej, trzeba było jeść, gdzieś mieszkać i w coś się ubrać. A Konstancja nie chciała skończyć tak jak ja, w nędzy i dziurawych butach. Wyszła więc za męża za innego. Chopin ją unieśmiertelnił, swoimi wyznaniem, zapiskami i listami, w których wymienia jej nazwisko. Właśnie on to dla niej zrobił, a nie sztuka. Śpiew Konstancji dał się pochłonąć powietrzu. Pochłonąć cudzym uszom, przestrzeni i przedmiotom. A potem zniknął, tak jak po chwili znika każdy dźwięk, jak znika śnieg, cukier w kawie i ludzkie ciało w ziemi. Śpiew Konstancji nie miał kształtu i teraz nie możesz go dotknąć. Nie wiesz, jak brzmiał. Wiesz tylko tyle, że kochał ją Chopin. To się właśnie dzieje, kiedy nie utrwalasz swojej sztuki. I jeszcze jedno, Ali. Konstancja dotykała. Straciła wzrok, była wtedy jeszcze całkiem młoda, i później stale wszystkiego dotykała, widziała dłońmi.

- Smutna historia.

- Trochę smutna, a trochę nie. Powinnaś być jak ona.
Powinnaś widzieć dłońmi.

Miała tę opowieść w głowie, kiedy kilka lat później robiła w gipsie projekt pomnika Chopina. Niewidzialne dłonie Konstancji na ramionach pianisty. Niewidzialne dłonie na jego głowie, twarzy, ustach. Jej milczenie wokół niego. Jej niesłyszalny, znikający głos.

Powinna widzieć dłońmi.

Ryszard Stanisławski. Ryś. Bardzo chudy, bardzo ostrożny i bardzo mądry. Po wojnie uciekł z Polski przez zieloną granicę i dołączył do dywizji pancерnej generała Maczka. Zajmował się tam, jak sam mówił, „opieką kulturalną”. Dbał o to, by były gazety i książki, by oficerowie mieli jakiś kontakt z kulturą polską. Po roku w dywizji pojechał do Paryża, gdzie uczył się języka i studiował matematykę. Matematykę! Sam uznał, że matematyki bardzo szybko się nauczy i przy okazji opanuje język, więc to dobry wybór. Tyle że to był jednak zły, bardzo zły wybór. Bo Ryś rozumiał sztukę. Rozumiał ją jak mało kto i Alina wiedziała, że to właśnie nią powinien się zajmować. Poznała go w jednej z tych stołówek, do których chodziła jeść. Mieli wspólnego znajomego, przedstawił ich sobie, zaczęli się sobie przyglądać, uważnie, trochę jakby analizowali dzieła sztuki. Ona dużo mówiła, gestykulowała, śmiała się, znała wielu ludzi i świetnie umiała nawiązywać kontakty. Lubiała opowiadać o Paryżu i jego artystach, na temat każdej rzeczy miała własne zdanie. Była odważna.

„Nauczyłam się tego, malarko... chciałam powiedzieć, że podczas wojny, ale to nieprawda, chyba po prostu zawsze taka byłam. Życie jest za krótkie, by dumać nad tym, czy do kogoś się uśmiechnąć, czy nie”.

Ryś był więc ostrożny i z początku trochę trzymał dystans. Nosił okulary, stary mundur, jakieś ciężkie wojskowe buty. Grzywka opadała mu na oczy. Palił papierosy, jeśli je miał. Wyglądał jak młody poeta, zamyślony, nieco wycofany, wrażliwy obserwator rzeczywistości, który stroni od nadmiaru słów i długo myśli, jakich użyć, by powiedzieć dokładnie to, co trzeba. A kiedy już znajdzie słowa i znacznie mówić – mówi dużo. O kulturze. O sztuce. O Chopinie. O Marksie i Engelsie. Marksa i Engelsa nie czytał nigdy wcześniej, ale w Paryżu powojennym musiał zacząć, bo wszyscy tam – wszyscy młodzi, wściekli na wojnę, stary system, wypaczone ideały, źle rozumianą tradycję, zgniłe i zastane konwenanse – byli lewicowi. Alina z wielką chęcią chodziła na demonstracje, nosiła transparenty z wolnościowymi hasłami, widziała potrzebę równości i społecznej sprawiedliwości, uważała – jak każdy z nich – że musi nastać nowy porządek, nowe zasady. Wszystko w ogóle nowe i świeże. Nie takie jak dawniej, bo to, co dawniej, skompromitowało się i ośmieszyło. Miała dość posłuszeństwa, dość dawnych ról społecznych i wzorców, dość uległych i grzecznych panienek, dość kobiet gotujących rosoly, dość jaśniepaństwa, które poznaje życie za pośrednictwem służby i kucharek i któremu trzeba sznurować buty, całować dłonie i może jeszcze podcierać tyłek. Miała dość zasad w sztuce. Tak, już wtedy chyba miała ich dość. Poza tym wciąż pamiętała, że Sowieci wygrali z Hitlerem i pogonili faszystów.

„Gdybyś, malarko, była tam gdzie ja, kochałabyś każdego, kto pogonił faszystów”.

Ryszard więc, choć wychowany w tradycyjnym katolickim domu, sięgnął po Engelsa i wsłuchał się w głosy socjalistów. Denerwowało ją to, jak wciąż idealizuje przeszłość, jak wynosi na piedestał przedwojenną tradycję, przedwojenne wartości, przedwojenne relacje w rodzinie. Jak ją upomina, kiedy Alina mówi coś nieprzychylnie o własnej mamie, nawet coś małego, drobnego i oczywistego, na przykład to, że mama się nie zna na malarstwie i nie ma żadnej własnej pasji. Rodzice to świętość według Rysia i trzeba ich całować po rękach. Miał trochę racji, ale Alina nie mogła się z nim zgodzić aż tak absolutnie. Lubiała więc dowodzić, że przedwojenny świat wcale nie był idealny, że miał przegniłe fundamenty i jeśli wojna w ogóle cokolwiek dobrego dla ludzi zrobiła, to właśnie zburzenie tych fundamentów. Przynajmniej tyle. Z tego koszmaru. Ale on nie patrzył tak jak ona, nie przeżył tego co ona. Nie przeznaczono go do likwidacji tak odgórnie, systemowo i w myśl prawa. A jeśli było się przeznaczonym do likwidacji, jeśli kilkakrotnie coś się dla człowieka kończyło – nie mógł już myśleć jak dawniej. Czuł potrzebę wielkiej zmiany. Rewolucji. Nic już nie mogło być ładne, grzeczne i kulturalne. Mogło być tylko piękne, ludzkie, prawdziwe.

Ryszard czytał Engelsa, słuchał młodych komunistów, a jednocześnie wciąż tkwił jedną nogą trochę w starym świecie. Chodził na przykład do kościoła i później mówił, że ten komunizm istotnie ma sens, że on sam widzi wręcz coś wspólnego w komunizmie i chrześcijaństwie, ideały, równość, nie wolno się wywyższać, każdy jest ważny i tak dalej. Postawić obok siebie komunizm i katolicyzm. On to umiał.

Ze swoją chudą klatką piersiową i ptasimi, ostrymi rysami twarzy nie przypominał greckich bogów, ale był piękny, bardzo piękny. „Kochany”, tak o nim myślała, kiedy już zaczął z nią rozmawiać. „Dobry”. „Szlachetny”. Wszyscy mężczyźni

w jej życiu byli dobrzy i szlachetni. Ale Ryś... Ryś miał w sobie pierwiastek wielkości. Był nieoszlifowanym diamentem i już wtedy wiedziała, że może błyszczeć, oślepiająco, zachwycająco, jeśli tylko mu się wskaże kierunek. A on studiował matematykę...

Rozmawiali, chodzili na spacer, czasem po prostu patrzyli przed siebie, ona oparta plecami o jego tors, uśmiechnięta, z błogim uczuciem w brzuchu.

„To zawsze jest brzuch, prawda, malarko? To zawsze tam się wszystko czuje”.

Aluś moja najdroższa.

Aluś moja kochana.

Tak do niej mówił. Zawsze pięknie i szczerze.

– Muszę mieć ciebie. O wszystkim pomyślę, o pracy, o studiach, ale najpierw ciebie muszę mieć. Tak na ciebie czekałem. Tak zawsze myślę o twoich dłoniach, włosach, ustach. Nie wyobrażaj sobie mnie. Poznaj mnie, zechciej mnie. Jestem z tobą złączony zupełnie.

I jeszcze mówił, że ją kocha – zupełnie i do szaleństwa.

– Nie umiem tego nawet wyrazić, Alina. Czasem aż się boję.

Teoretycznie nie byli wolni. Mieli zobowiązania, on nawet większe niż ona. A jednak to poprzedni związek Aliny, z człowiekiem, którego poznała w Pradze, stawał na początku między nimi, budził wątpliwości i ogromne poczucie winy. Tamten mężczyzna chciał porzucić dla niej wszystko. Tamtego też kochała i zawdzięczała mu wiele, tak wiele, że jakakolwiek myśl o skrzywdzeniu go sprawiała, że z nerwów kurczył się żołądek. „Bo to zawsze jest brzuch, prawda?” Miotła się od jednego do drugiego, rozdarta między poczuciem obowiązku a nowym, silnym uczuciem. Była coraz bardziej zakochana w Rysiu, widziała swoją z nim przyszłość, ufała mu, tęskniła do niego w każdej spędzonej osobno

chwili. I nie znosiła tego, że miłość tak bardzo może leżeć na sumieniu. Że ktoś inny na nią liczył i się zawiódł. Tamten mężczyzna z Pragi był szlachetnym człowiekiem. Wciąż nim jest.

Ryszard miał żonę. Poślubił ją pod koniec wojny w swojej rodzinnej miejscowości, a po ośmiu miesiącach urodziła im się córka. I choć drogi małżonków się rozeszły, nie wzięli formalnego rozwodu. Ryś był więc mężem innej kobiety, a Alina partnerką innego mężczyzny, który dla niej chciał porzucić Pragę. To nie był łatwy początek, bo nigdy niczego nie buduje się łatwo, jeśli przy okazji ktoś jest nieszczęśliwy.

A jednak – kochali się.

Tak bardzo, że aż brakowało słów.

Tak bardzo, że czasem wkładał się strach.

Przekonała go, by rzucił matematykę i zwrócił się ku historii sztuki. Tak też zrobił. Wstąpił na Sorbonę i do École du Louvre. Zrobił to pod jej wpływem, ale nie dlatego, że tylko ona tego chciała. To zasadnicza różnica – nie zrobił tego dla niej, lecz dla siebie. Ojciec pisał mu w listach z Polski, że się martwi, że to zapewne czar tej nowo poznanej pani A. tak działa, że ona mu się wydała jakimś objawieniem i dla niej właśnie zmienia całe swoje życie, a przecież czasy są tak niepewne, powinien najpierw skończyć zaczęte studia, dostać dyplom, znaleźć pracę i wtedy się zająć sztuką, skoro mu przypadła do gustu. Przez wojnę tyle się czasu straciło.

Rozumiała go. A jednak to ona miała rację.

Latem czterdziestego dziewiątego poważnie zachorowała. Wcześniej nie mogła chorować, podczas wojny nie mogła, nigdy. Choroba była czymś, na co ktoś taki jak ona prostu nie mógł sobie pozwolić. I wtedy była zdrowa, choć ciągle niemal w szpitalach, ciągle przy chorych i cierpiących ciałach. Potem powiedziała sobie, że nigdy w życiu już nie wejdzie do szpitala, ani razu. A jednak, proszę.

„Nie każdej złożonej sobie obietnicy jesteś w stanie dotrzymać, malarko”.

Gruźlica jajników. Groźna. Najpierw był szpital Tenon, a potem Hôpital Paul-Brousse w Villejuif. Operacja. Czysta pościel, drażniące zapachy, kwiatki na stolikach. W takim miejscu zawsze prędzej czy później myśli się o ciele, tylko o swoim ciele, mięśniach, kościach i żyłach, myśli się o tym, że jest się ciałem i niczym więcej.

„Są rzeczy, malarko, których wcale nie muszę ci tłumaczyć, bo znasz szpitale, gryzące zapachy, kwiatki na stołach i uwięzienie w ciele. Dziwnie się wtedy na nie patrzy, prawda? Jak na coś, co trzyma cię w ryzach i ubezwłasnowolnia. Mięso

i organy. Jeśli to szwankuje, raczej nieistotne, co masz w głowie. Emocje, refleksje, impulsy, pragnienie wyjścia na łąkę, wzięcia gliny w palce – nieważne. Ale i tak dobrze, że są. Że jest ten mózg, że jest myślenie i wyobraźnia, że jest istnienie”.

Tuliła się do Rysia, kiedy ją odwiedzał, i pisała mu w listach o miłości.

Raz jej powiedział, że jeszcze mało przeszła.

Nie zamierzał być niemiły, chciał po prostu dobrze wykorzystać godzinę odwiedzin. Nie na żale, tylko na uczucia.

Jednak – mało? Czy naprawdę?

W tej właśnie chwili, w szpitalu, zamknięta we własnym ciele, walczyła z myślami o przeszłości, o żółtej książeczce, w której zapisywała swoje emocje i w której opowiadała samej sobie o jabłoniach kwitnących i o tym, że jest piękna, pogwałcona, chce wolności, chce wyjść...

I znowu chciała wyjść, ze szpitala, z choroby, na wolność. Ale to było coś innego, bo wcześniej, podczas wojny, wiedziała, że obok naprawdę jest wolność, że wolność jest czymś dziejącym się poza nią, czymś jej odebrany. Że przeczekuje trochę swoje życie, bo to, które ma, nie jest prawdziwe, jest czymś sztucznie wytworzonym i narzuconym przemocą. A w szpitalu? Tkwiąc w szpitalu, wiedziała, że na zewnątrz nie ma już innego świata i innego życia. Nikt jej nie uwięził, nikt niczego jej nie narzucił, nie doznała przemocy i krzywdy. Wolność odebrało jej własne ciało. Od tego nie mogła uciec.

Wspominała momenty.

To, co lubi w Rysiu i czego w nim nie lubi. To, czego nie lubi w sobie.

Matkę i ojca. Dzieciństwo. Brata.

Po operacji i rekonwalescencji wyjechali z Rysiem w góry, gdzie miała odetchnąć świeżym powietrzem i wrócić do formy. Bardzo tego chciała. Odzyskać zdrowie i sprawność, wygrać na nowo swoje życie, zagubić gdzieś to wrażenie, że jest niewolnicą własnego ciała. Chciała nad nim zatriumfować. Niestety – to ono znowu zatriumfowało nad nią. Nastąpił nawrót choroby, tak straszny, tak zwalający z nóg, że już jak koniec. A więc kolejny szpital, prywatny, w Champagnole. Zabieg. Leki. Streptomycyna. Nowość. Niech się pani cieszy. Gdyby nie streptomycyna, no, sama pani wie. Medycyna wiele dzisiaj może. No, dobrze, medycyna jeszcze nie może wszystkiego, jednak może więcej niż kiedyś. Proszę spojrzeć, tak, proszę spojrzeć w lustro. Przecież pani żyje. A gdyby nie...

To było znowu trochę tak jak wtedy, podczas wojny. Zbieg okoliczności. Istnienie leku. Szpital na czas. Po raz kolejny się udało.

Po Champagnole wróciła do szpitala Paul-Brousse. Nie miała pojęcia, jakim cudem za to zapłaciła. Czym okupiła jej życie.

Bez sensu wszystko, myślała. Nie po to przeżyłam wojnę, żeby teraz umierać. Nie po to, do cholery.

W szpitalu – szpitalach – dumiała sporo o realizmie socjalistycznym. O – w dużym uproszczeniu – tej zasadzie, że trzeba pokazywać lud pracujący w klasycznej formie, prostej, bez udziwnień zalatujących dekadencją. Jak dla niej – powinno się malować człowieka i jego czynności, uchwycić ruch, a może nawet bardziej uchwycić istotę ruchu. Rzeźbić ruch. Trudno jest rzeźbić ruch, bo kamienna bryła łatwo zabija lekkość i wrażenie przemieszczania się. Jeszcze trudniej ukazać drganie i gotowość, to coś wewnątrz, co nigdy nie śpi. Czy da się wyrzeźbić podmuch?

Dźwięk? Śpiew Konstancji Gładkowskiej, prababki znajomego malarza?

Myślała o rzeźbie pielęgniarki jako po prostu pracownicy szpitala. Myślała o pokazaniu rzemiosła, fachu, zawodu, działania. Bała się popaść w schemat i uproszczenie, bała się popaść w romantyczny banał, w całą sentymentalność, w jaką zawsze ubiera się tych, którzy leczą i pielęgnują. Pielęgniarka w białym fartuchu jak anioł, w czepku jak anioł, cierpliwa jak anioł, opiekuńcza jak anioł. Otóż pielęgniarka wcale nie musi taka być. Może być niecierpliwa, zmęczona, zła, przeklinać w myślach, zaciskać pięści przed podaniem leków. A przy tym wszystkim dobrze wykonywać swoje zajęcie. Skomplikowane jest myślenie o takiej pielęgniarce, a już zwłaszcza skomplikowana jest koncepcja jej rzeźby. Alina wiedziała coś o tym zawodzie. Wiedziała coś o szpitalach, cierpliwości, opiece, poświęceniu i bezsilności, o złości i przeklinaniu w myślach. I tym bardziej rozmywała jej się wizja pielęgniarki-rzeźby. Bywa tak, że wiedza przeszkadza. A wszystkie spekulacje w głowie są do niczego.

Myślała też sporo o swojej wizji idealnej rodziny. Alina i Ryś, do tego trójka ich mniejszych wersji. Na przykład – Rachelka. I Krzyś. I jeszcze ktoś, komu imię dopiero musiała wybrać. Do tego całe mnóstwo dobrego jedzenia, wyrafinowane mięsa z homarem w majonezie na czele, koniecznie sałaty i desery, odpoczynek, łóżko, Alina i Ryś we dwoje, nadzy, on z dłonią na jej piersi, bijące serca, w wielkim podnieceniu, coraz szybciej i szybciej. Radość, radość życia.

Szpital ją więził, więziło ciało, oddalał się jej świat, który wracał tylko na chwilę, z Rysiem, w odwiedzinach. Jakby na moment otwierały się drzwi, a przez nie do środka wpadał gwar, ruch, kolory i kształty. I ona nabierała wtedy kształtów. A później znowu je traciła, stawała się płaska, bez wyrazu,

bez treści. Była znowu tylko ciałem, słabym, leczonym, podtrzymywanym przy życiu i ratowanym ciałem. Budziła się co rano i żadnej z jej rzeczy nie było obok.

W szpitalu trudno się umiera.

Tam, w tamtym miejscu, w którym była wcześniej, umierało się prosto i szybko.

I to wracało, tamte obrazy, z tamtych miejsc. Z tamtego czasu, którego – chyba – nie da się pokazać i opowiedzieć.

Tygodnie w szpitalu. Tygodnie w prewentorium. Nuda i tęsknota, i pisanie listów, i myślenie. A później problemy, cała masa problemów z opłaceniem leczenia, chodzenie Rysia do urzędów, pisanie papierów, że pieniędzy teraz nie ma, ale kiedy skończy studia, to zapłaci. Prosi, by odroczyć. Być może ktoś zapłakał nad Rysiem i nad jego pismem. Być może ktoś się wzruszył, że taki młody, że oni oboje tacy młodzi, a już takie brzemie, widmo śmierci, tyle strachu i starań, i nieprzespanych nocy, i być może gryzienia poduszki, i być może wizja samotności, tej najgorszej samotności, kiedy ktoś odchodzi i czuje się na każdym kroku, jak bardzo go nie ma. Być może więc ktoś się wzruszył i zapłakał albo uznał zwyczajnie, że taką rzecz da się przecież załatwić. Rząd francuski opłacił leczenie Aliny. Rysiowi powiedziano, że ma się nie martwić, sprawa zamknięta.

Nigdy nie wierzyła w cuda. Coś musiało za tym stać, jakiś brak, jakieś cierpienie. Przyroda domaga się równowagi i kompensacji, więc „cuda” dzieją się zawsze wybiórczo, los darowuje ci jedną rzecz, a drugą zabiera. Wiedziała już, że nigdy nie urzeczywistni się jej wizja idealnej rodziny. Alina plus Ryś, plus Rachelka, plus Krzyś, plus... Nie będzie Rachelki, Krzysia, nie będzie żadnych dzieci. Powiedzieli jej w szpitalu, że „po tym wszystkim” nie ma na to szans.

Paryż był jej. Kochała go. Uliczki, stragany z książkami, zapach pieczywa rano, sery, Sekwanę, ulicznych malarzy, którzy czasem źle malują, po mieszczańsku, landszafty jakieś lub portrety, ale to przecież ostatecznie nic nie szkodzi.

„Byłaś w Paryżu, malarko, więc wiesz, co to za miasto, że dzieje się tu Sztuka, a każdy artysta przynajmniej raz musi się tu znaleźć”.

Choroba na jakiś czas odebrała jej jednak entuzjazm, Alina nie mogła pracować, musiała nabierać sił, czuła się niepotrzebna i wybrakowana. Do tego forsa. Mocno żenujący wydawał jej się zawsze problem z forszą. Taki... płytki. Nie cierpiała, gdy stawał jej na drodze, gdy kierował myśli ku konieczności rozwiązywania takich spraw i uświadamiania sobie, że zabezpieczenie materialne jest jednak w życiu ważne. Lubiała czasem brak równowagi. Stan, w którym naprawdę żyła chwilą i radziła sobie dobrze, a o jutrze nie myślała. Brak równowagi lepiej się jednak sprawdza wtedy, gdy człowiek jest zdrowy. Gdy może biec, brudzić ręce, zmęczyć się, a później położyć i odpocząć.

„Ale gdy chorujesz, malarko, potrzebujesz czegoś stabilnego. Potrzebujesz pieniędzy na leki i na dobre jedzenie. Na rachunki, ciepłą bieliznę i szczelne okna”.

Paryż więc był jej, ale w Paryżu biedowała. Ryś pracował fizycznie nocami, a Alina nic nie mogła, nawet uczyć się i skończyć studiów. Sytuacja polityczna również stawała się mniej pewna, pogarszały się polsko-francuskie stosunki, a władze Francji oskarżyły ją w pewnym momencie o przekroczenie granicy na fałszywych dokumentach i pod fałszywym nazwiskiem. *Alena Šapočniková* urodzona w Cieszynie, obywatelka Czechosłowacji. Ktoś, kim nie była. „Długa historia i jeszcze do tego dojdziemy, malarko”. Mogła trafić nawet do więzienia. Wybronił ją adwokat załatwiony przez znajomych, mówił pięknie, emocjonalnie, porywczo i dużo, o tym, że Francja sądzi młodą Polkę, która ze swojego kraju przyszła tutaj na kolana po wiedzę. Ludzie na sali smarkali w rękawy, sędziom było głupio, strasznie idiotyczna sytuacja. Alina-Alena dostała małą grzywnę i sprawa się zakończyła.

Myślała o Polsce. Po skończonym procesie pojechała do matki do Łodzi. Podróżowała do Warszawy, chodziła po pracowniach kamieniarskich, rozmawiała z robotnikami, rozmawiała w Akademii Sztuk Pięknych, w Ministerstwie Kultury i Sztuki, dowiadywała się różnych rzeczy i nad wieloma się zastanawiała. Patrzyła na Warszawę, jak wyrasta z gruzów, jak kształtuje się od zera Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście. Potem było morze. Gdańsk, Sopot. Trochę deszczu, dużo słonego wiatru i piasek ze śladami stóp.

Naprawdę chciała znowu tu zamieszkać. Być u siebie.

W styczniu pięćdziesiątego pierwszego ambasador Pu-
trament nakazał polskim stypendystom wrócić do kraju. Za
tym poszło straszenie sankcjami, utratą obywatelstwa i tak

dalej. Pozostanie w Paryżu groziło im więc odcięciem na stałe od Polski. Wrócili w lutym.

Zacząła pracować przy wystroju rzeźbiarskim budynków Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej, a Ryszard w Państwowym Instytucie Sztuki. On kończył też w stolicy studia – historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim. Później robił karierę. Pisał do „Przeglądu Artystycznego”, pracował w Ministerstwie Kultury i Sztuki, w Centralnym Zarządzie Sztuk Plastycznych i Wystaw. Alina brała udział w konkursach, rzeźbiła, chodziła za różnymi kontaktami, starali się o mieszkanie i pracownię. „Nie mówię, że było łatwo, malarko. Nie mówię, że lepiej niż w Paryżu”. Ale tak naprawdę jakoś jej ulżyło. Warszawa była jeszcze wciąż dość brzydka, a jednak niezwykle ujęła Alinę. Wydawała się taka jak wszyscy po tej wojnie. Starta na proch i zrównana z ziemią, choć w środku – „w sercu, w brzuchu, w bebecchu, malarko” – nadal żywa. Była jak cały powojenny świat. Poraniony i zaczynający się na nowo. Na nowo naprawdę, od ziemi i fundamentów. Miasto, które przetrzymało katastrofę. Dawało nadzieję, że ludzie też tak mogą. Wierzyła w to.

Rysiu przeprowadził rozwód i pobrali się z Aliną półtora roku po powrocie do Polski. A później adoptowali chłopca. Piotrusia. Synka. „Widzisz, malarko, jednak wygrałam”. Założyła rodzinę, odzyskała zdrowie, rzeźbiła, chodziła o własnych siłach, spełniała się, spała we własnym łóżku, była kochaną kobietą, matką. Miała wszystko.

„I dotarłam wreszcie też do ciebie. Patrzysz na mnie z za swojego krwawiącego stołu. Wciąż masz tych ludzi wokół siebie, siostrę, męża, trupa, masz przedmioty, masz antylopę i czerwoną kurtynę, jak w teatrze. Masz swoją własną

historię. Zastygłaś i ciągle słuchasz, choć ja przestałam mówić. Nie odpowiadasz mi, tylko ciągle patrzysz, z wyrzutem i zrozumieniem jednocześnie. Ktoś tobie podobny zawsze będzie patrzył w taki sposób.

Akceptujesz moją opowieść i nie akceptujesz jej.

Chcesz wiedzieć więcej.

Chcesz tego, co jest w środku”.

ALINA I

1935–1939

Pabianice

Siedziała na drzewie. Drobną czarnowłosa dziewczyna, trochę uśmiechnięta, trochę zamyślona. Na gałęzi, która lekko pod nią trzeszczała. Kilka metrów niżej twarda, ubita ziemia, kępki suchej trawy, niewielkie kamyki, a wśród nich jeden niebezpiecznie duży. Nie martwiła się tym, w zasadzie niczego się nie bała. Trochę lubiła ryzykować, sprawdzać, co się stanie, kiedy zrobi to czy tamto. Bose stopy, lekko wilgotny strój kąpielowy, ręcznik na ramionach. Powietrze gęstniało w południowym słońcu, jaskrawe światło wyostrzało kształty, zaznaczało kanty, wydobywało wypukłości. Alina mrużyła oczy i przygląda się temu z leniwym zaciekawieniem. Dotykała kory, wodziła palcem po jej powierzchni, badała wgłębienia i bruzdy, zgrubienia, suchość, szorstkość. Wreszcie objęła pień drzewa i przycisnęła do niego ucho, nasłuchiwała, co jest w środku. Coś musiało być. Wewnętrzny kształt. Istota drzewa. Serce.

– Ala!

Zignorowała głos brata gdzieś w oddali i nadal słuchała drzewa. Zamknęła oczy. Wokół niej szumiały liście, a delikatny wiatr wplatał się we włosy. Ciepło, zapach trawy,

szorstka kora pod policzkiem i bicie serca, dwóch serc, dziewczyny i drzewa.

- Ala!

Rozkleiła powieki i zachwiała się na gałęzi.

- Niech to - mruknęła i w ostatniej chwili złapała równowagę.

Zeskoczyła na ziemię, zgarnęła sandały i popędziła nad rzekę, gdzie czekała na nią rodzina. Matka i brat już ubrani, ale ojciec wciąż bez koszuli, z mokrymi włosami. Przystojny. Nie wyglądał na pięćdziesiąt lat, wciąż miał młodzieńczą sylwetkę i chłopięcy uśmiech. Mrugnął do niej i wskazał rzekę. Grabia cicho szumiała, połyskiwała w słońcu, tafla wody marszczyła się i wybrzuszała. Alina wciąż pamiętała jej przyjemny chłód. Wskoczyła ojcu na plecy i roześmiała się, kiedy wbiegli w fale, a w tle, za nimi, matka i brat wołali, że przecież mieli się wysuszyć i jechać. Rozgrzana skóra piekła w zderzeniu z zimną wodą i trudno było złapać oddech, ale to piękna chwila, Alina wczepiła się w ojca, objęła go za szyję, skóra do skóry. Twarde obojczyki, krągłe ramiona, dość chude ręce, mocne dłonie. Alina miała wrażenie, że dopiero pod czymś dotykiem człowiek nabiera właściwych kształtów. A może w wodzie, kiedy musi pokonywać opór i bardziej czuje całe swoje ciało, każdy mięsień i kość.

- Musimy iść. I tak będą krzyczeć - szepnęła ojciec, po czym złapał ją mocno i na chwilę zanurzyli się w wodzie oboje, na pożegnanie. Ten moment był całkiem osobny, tylko dla nich.

- Wrócimy tu jeszcze? - wydyszała Alina, kiedy się wynurzyli.

- Oczywiście, będziemy tu przyjeżdżać każdego roku.

Teraz jednak lato się kończyło i trzeba było wracać do domu. Alina i ojciec wygramolili się na brzeg, wytarli i przez cały czas uśmiechali do siebie, kiedy matka i brat gderali, że

zawsze trzeba na nich czekać i przecież się na coś umawiali. A ojciec nie powinien. Jakub nie powinien tak w tej zimnej wodzie. Zdrowie przecież. Płuca. Musi uważać.

Alina starała się nie myśleć o tych słowach, o kaszlu ojca, który słyszała od czasu do czasu nocą, o charczeniu i spluwaniu, o zapewnianiu, że to nic, wszystko w porządku. Starała się nie myśleć o wzroku matki, w którym zawsze można było wyczytać prawdę. Matka wiedziała. Wiedzieli oboje, byli w końcu lekarzami. Mirosław, brat Aliny, składał koc, zbierał niedojedzone kanapki, ciastka i puste kubki po herbacie, którą przynieśli w termosie. Popatrywał na rodziców, na ojca, który lekko masował się po klatce piersiowej, jak gdyby to w czymś kiedykolwiek pomagało. Alina odwróciła się, przeczesła palcami mokre włosy, a później zacisnęła dłoń. Nie chciała tego uczucia, które powoli się w niej zalegało, wrażenia, że ktoś wylewa na słońce kubek czarnej farby. Chciała pamiętać rzekę, mocne ramiona ojca, jego śmiech i to łobuzerskie spojrzenie, które zawsze jest zaproszeniem do złamania jakiejś zasady. Kiedy ojciec zakasłał, odbiegła kawalek, a potem zatkała uszy. Niech nie kończy się lato, pomyślała. Niech nie kończy się to lato. Nigdy.

Do domu rodzina Szapoczników wracała z Kolumny. To właśnie w tej miejscowości Jakub, ojciec Aliny, kupił dom letniskowy na ulicy Legionowej 17. Był lipiec roku 1935, piękne lato, a miejscowość przeżywała właśnie swój najlepszy czas. Nazywała się wówczas oficjalnie Miasto Las Kolumna, tymczasem potocznie mówiono o niej „Mała Palestyna”, bo miejsce to szczególnie upodobali sobie turyści pochodzenia żydowskiego. Położone trzydzieści kilometrów od Łodzi kusilo świeżym powietrzem, gęstymi sosnowymi lasami, stawami, dwiema rzekami i wydzielonymi przy nich kąpieliskami. Bywalcy kurortu mogli korzystać nie

tylko z przebieralni, natrysków, restauracji i cukierni, lecz także z kortu tenisowego i dancingów. Na przyrzecznych działkach wyrastały pensjonaty i domy wypoczynkowe w szwajcarskim stylu, którym nadawano wyszukane nazwy, jak Venus czy Mazepa. Wodę z lokalnej rozlewni wód mineralnych eksportowano do Niemiec. Kolumna zwłaszcza dzieciom kojarzyła się z błogim wakacyjnym czasem, długimi letnimi dniami wypełnionymi słońcem, beztrudnym bieganiem po lesie, pływaniem w rzece, zapachem szyszek i żywicy, wylegiwaniem się na kocu, przeżywaniem przygód lub przynajmniej czytaniem o nich w książkach. W trzydziestym piątym Alina i jej brat Mirosław pojechali tam po raz pierwszy, cieszyli się nowym domem, miejscem, które mogli nazywać własnym, do którego mogli wracać, z którym wiązali emocje i marzenia o przyszłości.

Dom – ten właściwy, całoroczny – był w Pabianicach, na Narutowicza 4, w niewysokiej kamienicy, gdzie matka i ojciec przyjmowali także pacjentów w swoich własnych gabinetach lekarskich. Jakub był lekarzem dentystą, a Ryfka pediatrą. W Księdze adresowej miasta Łodzi matka ogłaszała się jednak jako Regina Szapocznikowa, takim imieniem się przedstawiała i takie też podała przy zakupie domku letniskowego w Kolumnie. Za polskim imieniem szła informacja o potrzebie i chęci asymilacji, o pragnieniu bycia zaakceptowanym przez grupę, do której niby się przynależało, ale tak naprawdę nie do końca. Nie narzekali na brak pacjentów. Jakub był doskonale wykształconym w Berlinie fachowcem, a Ryfka jedną z pierwszych w Polsce lekarek. Alina i Mirosław dorastali w domu, w którym cenilo się pracę i wiedzę i w którym dużo się mówiło i myślało o ludzkim ciele.

Jakub miał narzędzia. Metalową wiertarkę nożną, pilniki, raszple, szydła, prasy, tasaki, klucze nastawne, obcęgi, żłobaki, wiertła i dłuta. Umieszczone w specjalnych

skrzyneczkach mogły się kojarzyć z wyposażeniem kuźni albo warsztatu rzeźbiarza. Alina nieraz z zafascynowaniem przyglądała się formom do pobierania wycisku z dziąseł i zębów, formom do odlewania sztucznych szczęk, protezom i modelom. Ojciec opowiadał jej czasem o wulkanicie, ebonicie i żywicach akrylowych. Z tych ostatnich wyrabiał podstawy do sztucznych szczęk.

- To główny materiał na bazę protez - tłumaczył z udawaną powagą, a później puszczał do niej oko. - A baza jest najważniejsza. Bo gdyby taka proteza nie miała podstawy...

Alina parskła śmiechem, choć wcale nie uważała, że to aż tak zabawne. Raczej fascynujące. Nadal z udawaną wesołością prosiła ojca o opowieści. Wulkanit, ebonit i akrylowe żywice były znacznie ciekawsze od królowny Śnieżki czy jakiejś innej, śpiącej. Jedna królowna czeka na księcia, druga sprząta krasnalom. Czym tu się ekscytować? Ale żywice akrylowe? To było coś.

Wiedziała już, jak się z nimi pracuje i jak się je doprowadza do pożądanego kształtu, czym są, jaką mają fakturę, kolor, właściwości. Wiedziała też, że z wulkanitów wyrabia się rzeźby, elementy fajek, wymyślnie zdobione dekoracyjne wazy, a nawet kolczyki i inne elementy biżuterii. Widziała niejedną figurę z takiego wulkanitu. Ojciec mówił jej także, że ebonit powstaje na skutek wulkanizacji kauczuku, zawiera dużo siarki i ma dobre właściwości izolacyjne, ale w bardzo wysokiej temperaturze mięknie. Alina podziwiała lśniąca czarną barwę tworzywa, testowała kruchość i wytrzymałość. Kiedy brakowało wulkanitu i ebonitu, Jakub korzystał z żywicy akrylowej, odpornej na zmiany temperatury, szybko schnącej, bezzapachowej. Rozmawiał z Aliną dużo o protezach, o trudnej sztuce wypełniania naturalnej luki w jamie ustnej tworzywem sztucznym, o konieczności uzupełniania i jednocześnie naśladowania natury. Także jej

poprawiania, bo przecież dla protez wciąż szukano odpowiednich kształtów, podobnie jak dla koronek i plomb.

– Cały proces leczenia uzębienia to zmaganie się z naturalnym tworzywem – mówił. – Z fragmentem kości nieosłoniętej skórą, z tym, co uległo zdekompletowaniu.

Jakub musiał oczyścić taką lukę i czymś ją zalepić, wypełnić ubytek. Amalgamat uzupełniający defekt natury stanowił mieszaninę rtęci, miedzi, cynku, cyny i srebra. Metale i kość. Dłubanie w kości, wiercenie w niej, ingerowanie, kształtowanie, odejmowanie i dodawanie. Jakub miał też swój zielnik. Szukał środków do odpowiedniej higieny jamy ustnej i do uśmierzania bólu. Mięta, rumianek, melisa, szalwia, a do tego eter i opiaty. Gabinet dentystyczny był miejscem nieustannego eksperymentowania na ludzkiej szczęce. Alina lubiła tę przestrzeń. Wydawała się jej magiczna.

Ryfka patrzyła na człowieka bardziej kompleksowo. Studia podjęła już po wielkiej wojnie, miała wtedy prawie trzydzieści lat i nie była podlotkiem. Raczej poważną, spokojną i wyważoną kobietą, niezbyt emocjonalną, niezbyt bujającą w obłokach, skupioną na zadaniu, które sama sobie wyznaczyła. A zadanie nie było łatwe. Kończyła studia w chwili, gdy na uczelniach nie spotykało się jeszcze zbyt wielu kobiet, a połowa – jeśli nie więcej – społeczeństwa wciąż uważała, że „kobieta” i „lekarz” to słowa wzajemnie się wykluczające. Ryfka miała jednak łatwiej niż jej poprzedniczki, które wybrały medycynę w pierwszej dekadzie dwudziestego wieku. Wykorzystała sprzyjające warunki, które wytworzyły się tuż po wojnie, kiedy to kobietom przyznano prawa wyborcze, a wiele z nich podjęło wyższe studia i pracę. Uprawnienia zawodowe Ryfka uzyskała w roku 1923, przez cały czas zachęcana i wspierana przez męża. Była już wtedy w ciąży z Mirosławem, ale w niczym jej to nie przeszkodziło. Miała trzydzieści trzy lata i cały zestaw życiowych doświadczeń.

Trzy lata później na świat przyszła Alina, a Ryfka nadal godziła obowiązki lekarki i matki, pracowała, uczyła się, wychowywała dzieci i wydawała się ze wszystkiego zupełnie zadowolona. Nie była kobietą światową i towarzyską, nie znała się na muzyce i na malarstwie, nie reagowała emocjonalnie na sztukę, nie wiedziała, kim był Edgar Degas. Interesowała ją medycyna i życie rodzinne.

Alinę ciekawiło to, jak matka przygląda się ludziom. Ryfka ich słuchała. Nie tego, co mieli do powiedzenia, lecz raczej dźwięków, które wydawały ich ciała. Ludzkie ciało zawsze miało do opowiedzenia jakąś ciekawą historię. Narzekała, że na studiach mało było zajęć praktycznych, a zamiast tego dużo wiedzy z podręczników, dużo egzaminów, dużo szeleszczącego papieru. A przecież powinien być człowiek. Ciało. Ciało z chorobą, ze skazą. Powinno być oglądanie tego człowieka, dotykanie, prześwietlanie, wyjaśnianie tajemnic szwankującego organizmu. To w ciele właśnie kryją się wszystkie zagadki ludzkości, a wśród nich ta największa – zagadka istnienia.

Jak każdy student Ryfka uczestniczyła w sekcjach zwłok. Widziała, jak z mięśni odpada skóra, jak otwierają się jama brzuszna i klatka piersiowa, jak zewnętrzna powłoka prze staje chronić organizm przed wszelką ingerencją.

- Mamo, opowiedz trochę – prosiła Alina.
- Daj spokój, Alusia. To zbyt obrzydliwe.
- Dla mamusi nie.
- Ale ty jesteś dzieckiem.
- Mamo, prooooooszę.

Ryfka za każdym razem chwilę walczyła ze skrupułami, mamrocząc coś o obrzydliwościach, ale ostatecznie nie mogła powiedzieć, że takie rzeczy nie powinny interesować młodej dziewczynki, bo dawno temu sama się nimi interesowała. I wyrosła na lekarkę. Uśmiechała się pod nosem, widząc

wypieki na policzkach Aliny i jej błyszczące z podekscytowania oczy. Poddawała się wreszcie i mówiła o ludzkim ciele. O dotykaniu nagiej skóry pacjenta, o patrzeniu na rysujące się pod skórą mięśnie i kości, o zastanawianiu się nad mechanizmem, który jest w środku, niewidocznym, ale wyczuwalnym, sterującym wszystkimi życiowymi procesami. Serce pompujące krew, żyły, naczynia, płuca, mózg. Całość, dzięki której człowiek może leżeć na trawie, czuć jej zapach i rozmyślać o błękiecie nieba.

- Praca lekarza to nieustający wyścig o przedłużenie życia - mówiła - o odwleczenie momentu śmierci i ocalenie ciała. Jeśli nie ma zdrowia, nie ma nic. Ale są takie ciała, Aluś. Trawione chorobą i gorączką, jeszcze trzymające w sobie życie, ale już jakby nie całkiem. Takie...

- Zawieszony? Między światami?

- Tak. Chyba można tak powiedzieć.

- A kiedy pacjent umiera? Co wtedy, mamusi?

- A kiedy pacjent umiera, zawsze ma się wrażenie, że cała wiedza z książek jest do niczego.

Rozmawiały o gruźlicy, która wciąż zbierała zbyt krwawe żniwo i sprawiała, że ciało człowieka przeobrażało się w szkielet, skazywała na powolne konanie, zanik mięśni, walkę o każdy oddech.

Oglądały zdjęcia rentgenowskie. Organizm bez skóry, wewnątrz bez sekretów, jedyny prawdziwy obraz tego, co człowiek ma w środku.

Czasami Ryfka wspominała o operacjach i ingerencji w ten środek. O możliwych amputacjach kończyn.

- Już dość, Alusia.

- Jeszcze chwilę.

Mówiła więc dalej. O kruchości i nietrwałości życia, przemijaniu, ciele, wciąż o ciele, najwrażliwszym medium w poznawaniu świata.

O tym, czego doświadczyła podczas wojny, nie mówiła nikomu, nawet najbliższym. Przetrwiała. Przeżyła. Jedyne, czego chciała, to uniknąć rozdrapywania ran i ciągłego powracania do przeszłości. Kiedy wreszcie odzyskała spokój, pojawiło się najgorsze – ciężka choroba. Jej ciało odmówiło posłuszeństwa, a ona stała się jego niewolnicą. Czuła, że znów straciła wolność. Jednak choroba nie złamała jej woli. Nie po to przeżyła wojnę, żeby teraz się poddać. Ciało, które zdradziło, stało się czymś więcej. To ono – odtwarzane, przetwarzane, zwielokrotniane – pozwoliło jej stworzyć sztukę, dzięki której mogła wyrazić i zachować siebie.

Przeczytaj opowieść o dojrzewaniu kobiety i artystki, o tworzeniu i miłości. Oto historia życia Aliny Szapocznikow. Rzeźbiarki, która przemieniła swoje cierpienie w sztukę.

Przejmująca powieść o trwaniu i tworzeniu. Głęboko porusza i wciąga.

GRAŻYNA PLEBANEK

autorka książki *Rozbójniczki. Opowieść o ważnych kobietach*



MAGDA KNEDLER – filolożka, nauczycielka dykcji, autorka kilkunastu powieści obyczajowych i historycznych. W wolnych chwilach prowadzi badania genealogiczne i poznaje mitologie różnych narodów. W 2017 roku otrzymała nagrodę Emocje w kategorii literatura, przyznawaną przez Radio Wrocław Kultura twórcom, którzy związani są z Dolnym Śląskiem, a w roku 2021 podczas ząbkowickiego Festiwalu Czas na Książki wyróżniono ją za znaczący wkład w polską literaturę. Jej powieść *Położna z Auschwitz* zachwyciła czytelników: szybko stała się bestsellerem, a w plebiscycie organizowanym przez Lubimyczytac.pl uznano ją za Książkę Roku 2020 w kategorii najlepsza powieść historyczna.

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-8135-175-1



9 788381 351751

Cenadetał. 49,99 zł